

**Wywiad podlega ochronie praw autorskich. Jego cytowanie w innych publikacjach jest dozwolone za podaniem autora wywiadu oraz źródła.**

**Wywiad nr 1 (WP\_19\_D\_01)**, prowadzony przez dr Irenę Kurasz w ramach projektu Centrum Badań Mniejszości Niemieckiej realizowanego przez Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej  
**Respondent: kobieta, lat 67, mieszkanka Jeleniej Góry.**

**Badacz [B]: Czy pamięta pani z doświadczeń własnych lub przekazów rodziny jak wyglądała sytuacja ludności niemieckiej w pani regionie w 1945 roku?**

**Respondent [R]:** Ja mogę mówić tylko to, co dotyczyło mojej mamy, bo mama była rodowitą jeleniogórzanką, urodzoną w 1926 roku. Była, bo nie żyje od ponad 20 lat. No i z chwilą kiedy w 1945 roku nastąpiły zmiany, była młodą dziewczyną, bo miała 19 lat, nie znającą języka polskiego, ze względu na to, że nigdy w domu nie mówiło się o opcji zmian, babcia wprawdzie miała korzenie polskie, bo pochodziła ze Śląska Opolskiego, ale w tym czasie, gdy ona się urodziła w 1898 roku nie było państwa polskiego, do szkoły niemieckiej chodziła i tata nie rozmawiał z nią po polsku, chociaż obydwójce dziadkowie mieli polskie nazwiska, a więc....[...] A w związku z tym, że oni chodzili do szkoły z opcją języka niemieckiego, język polski nie był w jakikolwiek sposób pielęgnowany w domu i w rodzinie, i mama jako córka, która miała polskie korzenie i dziadka Wilhelma, który miał niemieckie korzenie, nigdy nie zdecydowano się na to by mówić, albo nawet iść w kierunku nauki języka polskiego. Kiedy po wojnie babcia zdecydowała, mama miała wtedy 19 lat i według ówczesnych przepisów nie była jeszcze pełnoletnia i nie mogła sama decydować, że nie chce tu zostać i chce iść z ludnością wysiedlaną, babcia zdecydowała że zostają, że ona wykorzysta swoje polskie pochodzenie, w wierze... bo zresztą wszyscy, którzy wyjeżdżali pozostawiali pod jakąś opieką rzeczy, których nie byli w stanie zabrać, to pozostawiali pod opieką kogoś, kto zostawał na tym terenie i miał takie możliwości, że jak coś się zmieni i wrócą, bo nikt na początku nie wierzył, nawet Polacy, bo przecież Polacy tu przyjeżdżali z różnych regionów, także wysiedlonych ze wschodu i nie tylko tacy.... Ale w dużej mierze przyjeżdżała polska ludność zamieszkująca regiony na wschodzie. I oni także nie byli pewni tego, czy za chwileczkę nie będą musieli się pakować i znowu wyjeżdżać. Na pewno początek był szalenie trudny, młoda osoba, bez znajomości języka, zapisała się na tak zwany kurs repolonizacyjny, uczono w czasie tego kursu języka polskiego. Mama była z zawodu księgową, bo akurat na koniec wojny w kwietniu 1945 roku zdała maturę ze stopniem, tak to się wtedy nazywało „kupieckim” i skończyła szkołę tutaj w Jeleniej Górze i w związku z tym, jak na tamte czasy, ludzi z jakimś poziomem wykształcenia było bardzo mało. Mimo, że nie znała języka polskiego, to było dobrą siłą roboczą, ze względu na to, że była pracownikiem biurowym, pracowała jako księgowa, a zasady księgowości są niezależne od języka, to czasami się koledzy pytali, czy jak ty liczysz, to liczysz po polsku, czy po niemiecku? Mama bardzo źle wspomina ten początkowy czas, tak się złożyło, że w 1947 roku poznała mojego ojca, on pochodził z Bydgoszczy, z rodziny z niemieckimi korzeniami, mówił biegle i po polsku i po niemiecku, to ich najprawdopodobniej bardzo złączyło. On też nie był pełnoletni w momencie, gdy

mógł podjąć decyzję [o wyjeździe – przyp. IK] i rodzina jego podjęła tę decyzję za niego, decyzję że zostają w Polsce, ale on mówił, że jak tylko się nadarzy okazja, to on będzie chciał wyjechać. Jego siostra była żoną niemieckiego żołnierza i mieszkała w Berlinie i to dawało mu nadzieję, że on będzie mógł kiedyś tam, jak się nadarzy okazja, że będzie mógł wyjechać. Rodzice się pobrali w 1947 roku, ja się urodziłam w 1952, a pierwsza moja siostra zmarła, bo była wcześniakiem. Ale w czasie budowania się nowego państwa polskiego, to stosunek do Niemców był bardzo negatywny, ze zrozumiałych względów. Nie zawsze ludzie, którzy byli bardzo źle nastawieni, albo bardzo się jakoś tak niedobrze odnosili, sami doznali jakichś większych krzywd. Często było też tak, że pracowali wywiezieni na roboty do Niemiec, do jakiegoś rolnika i sobie bardzo chwalili ten czas, oczywiście wszędzie jest to kwestia ludzi. Możesz trafić na bardzo dobrego i na bardzo złego, i to się jakoś odbija. Babcia moja cały czas wierzyła, że coś się zmieni, ale choroba spowodowała, że ona już nie brała pod uwagę możliwości wyjazdu, tym bardziej, że babcia i dziadek byli rozwiedzeni. Dziadek wyjechał i zmarł w 1956 roku Hanowerze, ale listy które pisał, pokazywały w jaki sposób wiodło się wysiedleńcom w Niemczech, no nie dawały one nadziei, że gdyby się podjęło później decyzję o wyjeździe, że to będzie dobry krok. Ja sama w rozmowach z mamy kolegami i koleżankami, z którymi miałam możliwość się poznać, wtedy, kiedy w latach 70. można już było przyjeżdżać, to się rozpoczął exodus do miejsca ich urodzenia, do miejsca gdzie kończyli szkoły. Mieli spotkania klasowe, to one się odbywały u nas w domu, bardzo sympatyczne. Ale one też pokazywały, że przez pierwszych dwadzieścia lat zaraz po wojnie ci pierwsi wysiedleni, oni byli stąd, i byli przesiedleni do miejsca, które było z góry zdefiniowane, oni byli traktowani przez tamtych Niemców jako obcy. Ci i tamci byli Niemcami, ale oni byli bardzo negatywnie odbierani i właściwie musiało upłynąć bardzo dużo czasu i ci co dokoptowali do tamtego społeczeństwa, no jakby musieli sobie dużo na to zapracować, żeby być określeni jako „nasi” a nie „obcy”. To pomagało w ewentualnej zmianie decyzji. Taką decyzję podjęła siostra mamy w 1956 roku, która powiedziała, że „nie”. To już było jedenaście lat po wojnie, że ona już tu nie będzie dalej funkcjonować. Jej syn chodził tu w Jeleniej Górze aż do piątej klasy szkoły podstawowej i zdecydowała się, że tym ostatnim rzutem jednak, to było w 1956 roku, czy w 1957, to nie powiem na pewno, ale to był ostatni moment, by wyjechać, potem było długo, długo nic... I ona wtedy wyjechała, mimo tego, że miała tutaj też pracę bardzo dobrą, ona też była po maturze, oprócz tego miała zdolność, która wtedy była mało znana, bo była zawodową stenotypistką. Wtedy kiedy się na maszynie pisało, w nauce stenografii potrafiła pisać i w innych językach, nie znając tego języka, tak ze słuchu, i była pod tym względem bardzo cenionym pracownikiem w urzędzie miasta w Jeleniej Górze. Ona już nie żyje od dawna, z synem mam na bieżąco kontakt, to jest mój jedyny kuzyn. Na pewno było bardzo, bardzo ciężko. W okresie międzywojennym, nie było czegoś takiego jak początków do emerytury, jeżeli ktoś był w wieku produkcyjnym i mógł pracować, to tylko w taki sposób mógł sobie pomóc. Tak więc mama, będąc po rozwodzie z ojcem, który zrealizował swój plan i wyjechał do Niemiec nielegalnie, i tam został, on wyjechał w 1958 roku, z tym że rodzice się rozwiedli wcześniej, i on się znowu ożenił. Miał dwoje maluszków dzieci i zostawił żonę tutaj i te dzieci, i pojechał do Niemiec,

a rodzinę, która tu miała wielkie problemy, mógł ściągnąć dopiero po kilku latach. [...] A moja mama z czasem jakoś wkomponowała się w tę społeczność i kiedy siostra ją bardzo namawiała, żeby jednak wyjechała, no to później kiedy babcia już była chora, babcia nie wyobrażała sobie żeby tułać się w jakichś nowych miejscach i zaczynać być może życie od początku [...] i mama powiedziała, że ona sobie nie wyobraża, żeby babcię zostawić, tym bardziej, że ona ją praktycznie utrzymywała. No bo babcia nie miała innych środków na utrzymanie, bo to co miała w banku, to jak zmarł pradiadek, to on dopracował się pracą swoich rąk jeszcze przed I wojną światową dwóch kamienic, które sprzedał, i to podzielił między dzieci i miały to na koncie, ale w czasie wojny to wszystko szlag trafił. I babcia żyła z odsetek, bo były takie lokaty i dawały takie możliwości, ale była właściwie gospodynią domową przy mężu, ale tak to było w okresie międzywojennym, że większość kobiet nie pracowała. Mimo, że babcia też miała skończoną szkołę, zwłaszcza że w okresie powojennym skończenie szkoły na poziomie maturalnym nie było codziennością, to było wysokie wykształcenie. No ale tak się ułożyło rodzinie, że nie musiała podejmować żadnej pracy, tym bardziej, że poświęciła się domowi i wychowaniu córek, to było dla niej najważniejsze. To wtedy ciocia namawiała mamę, żeby wyjechała, bo nie raz mama się jej żaliła w listach, wtedy to były jeszcze listy tylko i wyłącznie możliwe, jedne doszły, drugie nie doszły, bo korespondencja przechodziła cenzurę z zachodnich Niemiec. Nasze też były w drodze trzy, cztery tygodnie, to praktycznie na każdym liście była pieczętka „ocenzurowano”, tak że trzeba było uważać co się pisało w tych listach. Ale mama to ubierała zawsze w takie słowa „kłopoty rodzinne” i jakieś kłopoty związane z inną dziedziną, w każdym razie ciocia była tam w zachodnich Niemczech już na tyle zorganizowana, że mówiła, ja ci pomogę tutaj wystartować, że będzie ci łatwiej, niż mi na początku, jednak się nie zdecydowała i tak zostałyśmy.

Kiedy ta druga fala wyjazdów za granicę w okresie stanu wojennego się pojawiła, to ona już dotyczyła mojego pokolenia. Ci którzy mieli jakieś dokumenty, to albo ich rodzice wyjeżdżali i oni dojeżdżali do rodziców, albo wykorzystywali te dokumenty i przez te obozy przejściowe też wyjeżdżali do Niemiec [...] no my jesteśmy już na emeryturze, to moje pokolenie, tak że jednak to jest już fura lat.

**B: No tak, lata 80. to będzie już 40 lat....**

R: Mnie też namawiano, koleżanki mamy, bo jak babcia umarła, to nakłaniali mamę, żeby pojechała, albo żebym ja przynajmniej pojechała. Ale ja już wtedy byłam zamężna, mój mąż jest Polakiem. Już mieliśmy dwójkę dzieci i z grona moich znajomych wielu wyjechało i do Niemiec i do Australii i do USA, jednak ja zawsze podchodziłam do tematu bardzo odpowiedzialnie, nie ad hoc, że wszystko mi jedno, czy będę pracować na zmywaku, czy robić jakieś tam prace... Ja każdą pracę szanuję, od tego trzeba zacząć, ale ja miałam inne cele. W wyniku tych różnych przekonywań ze strony naszych przyjaciół, żebym się zdecydowała z rodziną wyjechać, pojechałam ostatni raz z myślą o tym, żeby przyjrzeć się społeczności i relacjom ludzkim, czy ja, wychowana tutaj, mimo że z językiem niemieckim nie miałam problemu i wszyscy to podkreślali - „masz stosowne wykształcenie i bez żadnego problemu...”, bo byłam w tamtym czasie po technikum hotelarskim, i

„znasz język niemiecki biegle, i bez żadnego problemu dasz sobie radę, znasz język”, no może nie perfect ale też dość dobrze język angielski, więc na pewno „bez żadnego kłopotu sobie poradzisz”. Więc pojechałam, żeby się przyjrzeć, jak się znajdzie tam mój mąż, bo dzieci wiadomo, że szybko się dostosują, i nawet gdyby troszkę na początku protestowały, bo moja córka w 1986 roku miała już trzynaście lat, a syn dziewięć, to może dla córki nie byłoby to najprostsze, ale dla syna, to by się szybko dostosował. Ale stwierdziłam, że to jest jednak inna mentalność ludzi, że zgotuję mężowi sytuację, w której on zawsze będzie się czuł obco, on nigdy nie będzie „tamtejszy”. On wprawdzie uczył się języka, kiedy przyjeżdżali do nas goście, ale to były bardziej rozmowy towarzyskie, przy kolacji, przy piwie, a nie tak, żeby tam funkcjonować, zarabiać. Miał wprawdzie zawód, przy którym tak by języka nie potrzebował, bo był spawaczem, ale przy jego kompetencjach też nie byłoby być może problemu żadnego ze znalezieniem dobrej pracy i powiedziałam sobie, że „nie”. I od tamtego czasu, nie zajmowałam sobie już głowy tym myśleniem, opcją, że kiedykolwiek wyjadę i uważam, że to była bardzo dobra decyzja, ponieważ to co się zaczęło później dzieć i rok 1989 i te wszystkie zmiany... Dziś może język niemiecki nie jest tak poszukiwany jako kompetencja zawodowa, ale wtedy w latach 90. w moim zawodzie biegła znajomość języka niemieckiego była bardzo poszukiwana i ja wtedy funkcjonowałam jeszcze w pełni w zawodzie i dostawałam naprawdę ciekawe propozycje zawodowe i mogłam się nie tylko rozwinąć w wielu kierunkach, ale także to moje życie zawodowe było bardzo barwne i satysfakcjonujące, także finansowo. Miałam o wiele lepsze propozycje, niż moi koledzy i koleżanki, z którymi chodziłam kiedyś razem do szkoły średniej czy studiowałam. Tak że to była dobra decyzja i nie żałuję jej.

Natomiast jeśli chodzi o tematy mentalne, to moim pierwszym językiem, przez to, że mama mówiła tylko po niemiecku, a babcia nie mówiła po polsku, babcia do końca to mówiła tylko tyle o ile, żeby zakupy sobie zrobić, to dopóki nie poszłam do przedszkola, to pierwszym moim językiem był język niemiecki. I oczywiście swoje przeszałam, jako „Szwabka”, „Niemka”, „Hitlerówka”. Babcia zawsze mnie pocieszała, i mówi „dziecko nie płacz” jak wracałam zapłakana do domu, bo dzieci też potrafią być okrutne... Ale to także wynikało z tego, że dzieci oddają to, co słyszały w domu, i to potem przenosili na forum szkoły. Ich zachowania były adekwatne do tego, jakie byłyby zachowania ich rodziców. No ale babcia zawsze powtarzała, „nie płacz dziecko, jeszcze ci kiedyś zaczną płacić za to, że mówisz po niemiecku”.

**B: I tak się stało.**

R: I tak było. Na pewno ten czas powojenny, nie wszędzie, bo w mamy otoczeniu było mnóstwo życzliwych osób, Polaków, z którymi utrzymywała kontakt, dla których kwestia tego, co ludzie cywilni, ludzie którzy z wojną nie mieli do czynienia, albo z politycznymi decyzjami, byli winni tego wszystkiego, co straszego się działo. Tak że ci, którzy to rozumieli, pielęgnowali swoje relacje normalnie, jak człowiek z człowiekiem powinien... Bo niezależnie od tego, gdzie się urodzimy, albo nawet jaki kolor skóry mamy, to jest to dzieło przypadku. Tak, że nawet kwestia religii jest dziełem przypadku, bo wychowujemy się w miejscu, gdzie są określone tradycje, gdzie jest określony kult [...]

**B: Czy pani rodzinę dotknął proces repolonizacji? Na przykład zmiany pisowni imion i nazwisk?**

R: Tak, babcia była po mężu Müller<sup>1</sup> i żeby dostał polskie obywatelstwo, mam jeszcze w domu ten dokument, to w 1945 roku podpisany przez Wojciecha Tabakę pierwszego starostę Jeleniej Góry, no musiała mieć polskobrzmiące nazwisko, więc wróciła do swego panińskiego Kowalska<sup>2</sup>, natomiast ciocia, czyli mamy siostra, miała nazwisko po mężu, który zginął pod Stalingradem Fuchs<sup>3</sup>. Kiedy w 1946 roku starała się o posadę maszynistki, stenotypistki, to jej powiedziano, że z takim nazwiskiem nie mogą jej przyjąć, chyba że sobie przetłumaczy to nazwisko na polski i od tej pory była w dokumentach Lisicka<sup>4</sup>. Mój kuzyn też ma to nazwisko, a kiedy teraz wrócili do Niemiec, to wrócili do nazwiska Fuchs. Te zmiany były konieczne.

**B: A inne przykłady polonizacji na przykład ziem, zacieranie śladów niemieckości na murach, na nagrobkach itp.**

R: W naszym bezpośrednim przypadku, jeśli chodzi o rodzinę to nie, ale jeżeli chodzi o cmentarze, jeśli to się obserwowało, to było ewidentne. Nawet i dzisiaj na starym cmentarzu w Jeleniej Górze jest kilka nagrobków, gdzie wykorzystano kamienie ze starego nagrobka i wpisano osoby, które zostały pochowane w miejscu, gdzie były poprzednio niemieckie groby. Wiadomo, że po kilkudziesięciu latach, przedawnia się opcja [...] u nas zresztą też jak się wykupuje grób, to jest na dwadzieścia lat. Jedna rzecz, która mi się na naszym cmentarzu jeleniogórskim podoba, to inna rodzina zostawiła ten kamień z napisem kto tam leżał wcześniej i postawiła swój kamień dla osób, które zostały później pochowane. To są jednak bardzo rzadkie przypadki, ale tak generalnie, to nawet i tutaj kaplice nagrobne w Kościele Garnizonowym w Jeleniej Górze [Kościół Garnizonowy Wojska Polskiego w Jeleniej Górze – przyp. IK] były totalnie plądrowane. To były profanacje zwłok, nawet szkielety i trumny były wyciągane i wyrzucane, bo poszukiwano złotych zębów, albo jakiejś biżuterii. To są rzeczy, które ja jako dziecko widziałam na cmentarzu wokół Kościoła Podwyższenia Świętego Krzyża [Kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Jeleniej Górze – przyp. IK], kiedyś się nazywał Kościół Garnizonowy, bo on należał do Agencji Wojskowej [Agencji Mienia Wojskowego – przyp. IK] i był kościołem patronackim dwóch koszar tutaj w Jeleniej Górze. Ale ta taka niechęć do tych ludzi, którzy tutaj są pochowani, nie dotyczy tylko i wyłącznie byłych Niemców, którzy tutaj byli, to dotyczy także i rosyjskich żołnierzy, którzy na jeleniogórskim cmentarzu są pochowani. Tam może innego rodzaju organizacja zadziałała, że wydzielono miejsce obok kaplicy głównej, tam przeniesiono szczątki tych żołnierzy, które w różnych miejscach cmentarza były pochowane, tych żołnierzy rosyjskich, którzy tutaj w 1945 i w 1946 roku zginęli. Jelenia Góra nie miała frontu, nie było wojny tutaj, nie było widać w ogóle, że jest wojna poza tym, że było ciężko z jedzeniem. Inne czasami wojska przechodziły, ale tak żadnych działań wojennych, ani zniszczeń wojennych nie było. Ale po 1945 roku także różne walki pomiędzy polskimi i rosyjskimi żołnierzami,

---

<sup>1</sup> Nazwisko zostało zmienione w celu uniemożliwienia identyfikacji respondenta.

<sup>2</sup> Nazwisko zostało zmienione.

<sup>3</sup> Nazwisko zostało zmienione.

<sup>4</sup> Nazwisko zostało zmienione.

czy nie żołnierzami, bo może nawet to bandy były, nie wiem, nie umiem się do tego odnieść, też generowały mnóstwo przypadków śmiertelnych. W tej chwili jest takie poletko wydzielone, tam szkoły chodzą i świeczki palą, jest to zawsze wypielęgowane, są kamienie z imionami i nazwiskami, są daty urodzin i zgonów, ale w moim odczuciu, że nie ma znaczenia, tak samo jak my Polacy oczekujemy, żeby ktoś z szacunkiem podchodził do miejsca pochówku naszych rodaków za granicą. Nie mówię tu o Monte Casino, ale w wielu miejscach bezimiennych grobów, jeśli jest wiedza, że tam ktoś leży, jakiś były żołnierz, który już dalej nie był w stanie iść i został pochowany, to szacunek do tej osoby powinien być niezależnie od tego, jakiej był narodowości. Ale rzeczywiście byłam sama jako dziecko świadkiem i nawet później jako dorastająca panienka, widziałam co się dzieje wokół Kościoła Garnizonowego. Ten obrazek tych rozwalonych trumien miałam [przed oczyma – przyp. IK] już dawno. Natomiast mieszkam w części Jeleniej Góry, gdzie zaraz na przyległej ulicy, przy Morcinka w Jeleniej Górze były dwa ewangelickie cmentarze i dzisiaj w jednej części tego cmentarza, tam nawet do 1964 roku były jakieś pochówki, ale generalnie leżeli tam pochowani tam do 1945 roku mieszkańcy Jeleniej Góry. I jedna część tego cmentarza jest dziś swego rodzaju parkiem, a druga część jest w trakcie budowy kościoła. I to co jest szlachetne w stosunku do tych, co organizowali tą budowę kościoła, czy zorganizowanie tego parku, że ekshumowano tam gdzie w ramach różnych prac wyszły jakieś piszczele, czaszki, to wszystko zbierano, i zrobiono kopiec pamiątkowy, pochowano wszystkie szczątki, które się znalazły z tablicą informacyjną w których latach tam był cmentarz. Tak, że były nie tylko bardzo negatywne działania, ale i pozytywne inicjatywy.

**B: Czy ma pani wspomnienia dotyczące nastawienia polskich władz, albo polskiego duchowieństwa, Kościoła katolickiego czy ewangelickiego do Niemców?**

R: Tu mogę powiedzieć coś, co mi mama powiedziała, co jest bardzo smutne, w 1945 roku Kościół Erazma i Pankracego w mieście [Bazylika Mniejsza pw. św. Erazma i Pankracego w Jeleniej Górze – przyp. IK], był tam ksiądz proboszcz, któremu nowy polski ksiądz proboszcz, powołany do tej parafii w 1945 roku nie dał nawet dziesięciu minut, żeby spakował swoje rzeczy, tylko wystawił go na ulicę i tam ludzie pomagali mu się zorganizować. Ja mam zdjęcie nawet tego proboszcza, który do dzisiaj ma swoją tablicę pamiątkową przy kościele św. Erazma i Pankracego, ale babcia i mama nie potrafiły się z tym pogodzić, że jeżeli nawet ludzie byli do siebie wrogo nastawieni, to księża jako katolicy i przedstawiciele szczególnej wyższości relacji międzyludzkich, gdzie jesteśmy braćmi i siostrami... i kiedy ksiądz traktuje innego księdza w bardzo brutalny sposób, to było niedopuszczalne. Babcia przez wiele lat nie chodziła do kościoła w związku z tym. Właściwie zawsze modliła się tylko w domu i w latach 60., bo ja chodziłam do Kościoła Garnizonowego, to raz w miesiącu była organizowana msza w języku niemieckim dla byłej ludności tego regionu i ksiądz Jankowski<sup>5</sup> zmarł chyba w 1969 roku, tak że na tą mszę chodziłam przez kilka lat z mamą i te relacje z tymi księżmi były..... Ja nie odczuwałam jakichś zachowań [niewłaściwych – przyp. IK]. Z tym że wiem, że ksiądz Jankowski w kurii, przez to że on był proboszczem w tej parafii, i prowadził

---

<sup>5</sup> Nazwisko zostało zmienione.

raz w miesiącu mszę w języku niemieckim, to nie było to mile widziane w jego powiedzmy księżowskim otoczeniu. Natomiast w późniejszych latach dziś dla garstki osób, które chcą jeszcze chodzić do kościoła, to w Kościele św. Anny [Kaplica św. Anny w Jeleniej Górze – przyp. IK], to jest właściwie taka kaplica studentów w samym centrum miasta przyjeżdża zakonnik, który prowadzi nabożeństwo w języku niemieckim [...] Ja raz byłam na takiej mszy, robił to sympatycznie, ale ja się jednak czułam nieswojo. Ja się jednak... Ja chodziłam do polskiej szkoły, wprawdzie w domu była opcja dwujęzyczna, ale to w niczym nie przeszkadzało, że do komunii i do bierzmowania przystępowałam w polskim kościele. A w tym czasie, gdy ja chodziłam na lekcje religii, to ksiądz Mateusz Dyzik<sup>6</sup>, który był w Kościele św. Erazma i Pankracego, był niesamowicie ciepłą osobą i dla niego nie było różnicy, nie wiem czy wiedział, czy nie wiedział... Musiał wiedzieć, ponieważ w 1952 roku jak się urodziłam w styczniu, z uwagi na to, że moja siostra wcześniej umarła i mama miała ten strach cały czas, czy mnie się coś złego nie zdarzy i chciała, żebym była jak najszybciej ochrzczona i chciała, żeby moim patronem na życie był św. Józef. A więc poszła do księdza Dyzika i wtedy mówiła bardzo słabo po polsku, bo mama jako młoda kobieta z upływem czasu uczyła się języka polskiego, więc to się zmieniało, ale akcent niemiecki został, bo każdy kto z nią rozmawiał od razu się pytał co jest tego przyczyną? No i poszła do niego i powiedziała, że chciałaby żebym była ochrzczona właśnie w dzień św. Józefa, czyli 19 marca i mimo, że był to wtorek, to specjalnie żeby zrealizować to życzenie, uszanował taką wolę i zrobił to w środku tygodnia, mimo, że nie było takich tradycji. Tak, że ta życzliwość w tym przypadku, sami mogliśmy odczuć, ona była. I ona była z różnych stron. Było dużo negatywów i dużo pozytywów. Jeszcze w szkole podstawowej miałam taki przypadek, ja byłam wzorową uczennicą, nie żebym się chciała chwalić, ale nie stwarzałam problemów ani mamie, ani w szkole, i byłam lubianą uczennicą w gronie nauczycielskim i był w mojej klasie chłopak, który mi wyjątkowo mocno dokuczał pod względem „Szwabki”, „Hitlerówki” i w ten sposób.... I któregoś razu usłyszała to moja wychowawczyni, jeszcze niedawno się z nią spotkałam, już taka bardzo mocno starsza pani, niesamowita kobieta ze szkoły podstawowej, malutkiej postury, niedużego wzrostu i ten wyrośnięty trzynastolatek, bo to było tak gdzieś w szóstej klasie szkoły podstawowej. I była świadkiem jak on mnie zaczął przezywać. Ja się nigdy nie skarżyłam. Wzięła go za ucho na środek klasy [...] Do dziś pamiętam jak on się nazywa. On był o dwie głowy wyższy od niej, więc mówi do niego „Schyl się Jankowski<sup>7</sup>”, wytrząsała go po buzi. Dzisiaj to by było niemożliwe, powiedziała co o nim myśli i muszę powiedzieć, że od tamtego czasu on robił duże kółko wokół mnie i z jego strony już żadnych przykrości nie miałam. Tak więc były to takie jednostkowe przykłady, które pamiętam.

**B: W połowie lat 50. przychodzi odwilż polityczna i wiele się w Polsce zmienia po śmierci Stalina. Nastąpiła liberalizacja polityki także w odniesieniu do mniejszości narodowych. Czy pani pamięta, czy coś w tym okresie się zmieniło w życiu pani rodziny?**

---

<sup>6</sup> Imię i nazwisko zostały zmienione.

<sup>7</sup> Nazwisko zostało zmienione.

R: Oprócz tego, że ojciec wyjechał do Niemiec i mamy siostra, to ja nie kojarzę, żeby coś się zmieniło. Pod koniec lat 60. mogły być już realizowane pierwsze przyjazdy z NRD. Część mamy kolegów i koleżanek mieszkała w NRD i te relacje były bardzo przyjemne, przyjazne. W latach 1972-1973, nie powiem na pewno, to był przyjazd mamy byłego nauczyciela zawodu z tej szkoły kupieckiej. Jego dorosły syn przyjechał ze swoją rodziną w pierwsze odwiedziny do nas do Jeleniej Góry. Potem całkowicie się nasz standard życia zmienił. Na początku było mamie bardzo ciężko, pracowała jako księgowa na półtora etatu, żeby podgonić. Ojciec wprawdzie płacił alimenty, ale to były groszowe sprawy i mimo, że już mieszkał w zachodnich Niemczech, to ten obowiązek alimentacyjny przejęła jego matka i regularnie te pieniądze wpływały. Z chwilą, gdy ruszyły te pierwsze przyjazdy, czy to z NRD, gdzie ludzie żyli na wyższym poziomie, a już z RFN-u, to w ogóle. U nas było zawsze skromnie, ale czysto i była ciepła, przyjazna atmosfera. Ja nie odczuwałam biedy, że nam czegoś brakowało, bo trzeba przyznać, że wszystkim ludziom było trudno. Każdy miał jakiś tam pokój wyposażony w każdy mebel z innej parafii, ale ludzie byli do siebie życzliwiej nastawieni. Zmieniło się to w latach 70. na tyle, że zaczęły napływać różnego rodzaju paczki od znajomych, którzy... ja na przykład nie musiałam odzieży żadnej kupować dla dzieci, bo wszystko dostawałam od znajomych z Niemiec, dziś są te „Second Hand” popularne, ale wtedy to było z wiadomej ręki i wszystko przychodziło docelowo, a w co się nie zmieściliśmy, albo było mało przydatne, to zawsze była duża grupa chętnych i za niewielkie pieniądze można to było sprzedać. Bardzo nam to pomogło w tamtym czasie.

**B: Jak już jesteśmy przy tym temacie to od razu spytam, jak wyglądały w tamtym czasie kontakty z rodziną z Niemiec, ze znajomymi? Czy był to głównie kontakt listowny, czy też odwiedziny były możliwe? Jeśli tak, to jak częste one były?**

R: Mama jeździła do swojej siostry w Niemczech Zachodnich, więc wiadomo, paszport, wiza i dopiero ona ją mogła odwiedzać. Po przyjeździe do Niemiec ona dostawała, bo przecież wiadomo, że u nas nie było możliwości kupienia pieniędzy jak dziś w kantorze, to ona dostawała od urzędu miasta jak przyjechała pieniądze na przywitanie. To było w tamtych czasach sześćdziesiąt, osiemdziesiąt Marek, to w relacji do naszych zarobków było to naprawdę bardzo dużo. I ona tak raz w roku, chyba po raz pierwszy na początku lat 70. pojechała i potem raz w roku jeździła do swojej siostry. Ciocia przyjechała jeden jedyny raz w 1978 roku, akurat był październik, przyjechała ze swoją wnuczką i tu wszystko było szare, ponure, dziurawe i powiedziała, że „nie”, że jest szczęśliwa, że podjęła wtedy decyzję [o wyjeździe – przyp. IK] i ona nigdy tu już nie chce przyjeżdżać i faktycznie już nigdy więcej nie przyjechała. Już pomijam te problemy na granicy, gdy jako babcia przyjechała ze swoją wnuczką, noszącą to samo nazwisko co ona, ale na granicy posądzono ją o porwanie dziecka i przez osiem godzin na granicy ją przetrzymywano w celi. Osobno ją, osobno dziecko, które miało wtedy 6 lat. Stres straszny!!! Wtedy nie było telefonów, my czekamy na dworcu, czekamy na mamy siostrę, a jej nie ma. Ona przyjechała wiele, wiele godzin później, rozdygotana totalnie i jej wnuczka także. Tak, że te przygody z pierwszym przyjazdem do Polski były bardzo niedobre. Natomiast inna, bardzo negatywna przygoda, mówiłam pani, że w

1973-1974 przyjechał po raz pierwszy syn szefa mamy do Jeleniej Góry. Jego wujek mieszkał tutaj na rogu ul. Wincentego Pola i Złotniczej i on stanął przy tunelu, żeby zrobić zdjęcie dla wujka, który już miał swoje lata i nie mógł przyjechać. Zrobił zdjęcie tego domu i drugie zdjęcie zrobił furmana jadącego na targ wozem, załadowanym kapustą. No i został zatrzymany przez milicję. Bo tam po drodze był dworzec kolejowy i tego nie można było fotografować a on nawet nie pomyślał, ile żeśmy zachodu mieli, żeby go wyciągnąć, bo też na „dołek” go wsadzili. Oczywiście zlikwidowali mu aparat fotograficzny i on później po czasie traktował to jako przeżycie i żart z tej podróży, ale było to bardzo niesympatyczne. Ja natomiast na paszport z wizą byłam dwukrotnie, jeszcze wtedy, kiedy wizy do zachodnich Niemiec były potrzebne. Raz zrobiłam z mamą taką objazdówkę i byłam także u siostry i z kuzynem żeśmy się widzieli, to miałam wtedy dwadzieścia pięć lat. No i wtedy po raz pierwszy na żywo widziałam się ze swoim ojcem. Bo tak to żeśmy się wcześniej nie znali. Ojciec nie pielęgnował kontaktów. [...] Ale pytała pani o kontakty nasze. Tak jak mówiłam, tylko drogą korespondencyjną. List szedł trzy, cztery tygodnie, zawsze był cenzurowany, niektóre nie dochodziły, zanim pojawiła się możliwość rozmowy telefonicznej, to właściwie są już te współczesne czasy... [...] w tamtych latach odległość była [odczuwalna – przyp. IK] i jeszcze były te „otoczki” związane z żelazną kurtyną.

**B: Zapytam panią teraz o dostęp do kultury niemieckiej. Czy był dostęp do książek w języku niemieckim?**

R: Nie, takich rzeczy nikt nie pielęgnował. Nawet jak ktoś miał coś niemieckiego, to nawet się nie przyznawał, że coś ma. Coś co było niemieckiego pochodzenia, było niszczone. Nawet tutaj, przykład tego pałacu [wywiad odbywał się w pałacu w Łomnicy, przed wojną będący własnością rodu von Küster – przyp. IK]. z całą dużą biblioteką, to zrobili potężne ognisko – wszystko spalili, książki też. O rzeczach, które miały niemieckie pochodzenie, można było mówić dopiero wiele, wiele lat później. Więc co najmniej do 80. lat jeżeli nawet ktoś coś miał, to się z tą informacją ukrywał.

(...)

**B: A co pani uznaje za największe wyzwanie Niemców żyjących dziś w Polsce?**

R: Wie pani, tu trzeba rozgraniczyć. To społeczeństwo [niemieckie – przyp. IK], które tu się urodziło, ono już praktycznie wymarło. Dla nich jest to okres zamknięty. Moje pokolenie, ono jest już też w odpowiednim wieku, i już praktycznie wychowywało się w polskich warunkach. Natomiast nie mam kontaktu i trudno mi się odnieść do tych, którzy w ramach łączenia – jakieś związki partnerskie, on Niemiec, ona Polka albo odwrotnie, dzisiaj się decydują na mieszkanie w Polsce albo w Niemczech. Raczej muszę powiedzieć, że ci moi znajomi, którzy wyjeżdżali w latach 80. do zachodnich Niemiec, [...] to oni nie wiązali się tam ... dwóch kolegów, którzy wyjechali, to wyjechali z żonami, które sobie pobrali tutaj, więc tam nadal funkcjonują w środowisku polskim. I żyją i są zadowoleni ze swojego bytu. [...] natomiast z tych moich znajomych co wyjechali, nie ma łączonych par. Ale trudno mi powiedzieć, jak to dziś wygląda, jeśli Niemiec zdecyduje się na przyjazd do Polski. Nie mam takich znajomych.

**B: Ja już wyczerpałam swoje pytania. Serdecznie dziękuję za wywiad.**